

JEŹDŹCY
HANGERA



NA ROZKAZ
MIŁOŚCI
KAREN
WITEMEYER

d



Tytuł oryginału:

At Love's Command (Hanger's Horsemen #1)

Autor:

Karen Witemeyer

Tłumaczenie z języka angielskiego:

Magdalena Peterson

Redakcja:

Agata Tokarska

Korekta:

Dominika Wilk

Skład i opracowanie graficzne:

Anna Brodziak

ISBN 978-83-66977-81-5

Cover design by Dan Thornberg, Design Source Creative Services

Fotografia Karen Witemeyer: © Amanda Carpenter

© 2020 by Karen Witemeyer by Bethany House Publishers,
a division of Baker Publishing Group, Grand Rapids, Michigan, 49516, U.S.A

© 2023 for the Polish edition by Dreams Wydawnictwo

Dreams Wydawnictwo Lidia Miś-Nowak
ul. Unii Lubelskiej 6A, 35-016 Rzeszów
www.dreamswydawnictwo.pl

Rzeszów 2024, wydanie I

Druk: OZGraf

Wszystkie cytaty z Pisma Świętego podano za Biblią Tysiąclecia.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana, przechowywana jako źródło danych, przekazywana w jakiegokolwiek mechanicznej, elektronicznej lub innej formie zapisu bez pisemnej zgody wydawcy.



NA ROZKAZ
MIŁOŚCI
KAREN
WITEMEYER

TŁUMACZYŁA MAGDALENA PETERSON

*Pan jest obrońcą ubogiego, twierdzą w czasach ucisku.
Tobie zaufają ci, którzy znają Twe imię,
Bo nie opuszczasz, Panie, tych, co się do Ciebie zwracają!*

Ps 9,10–11

Dla mojego ulubionego bohatera.

Nie tylko Jeźdźcy mogą ratować różne sytuacje. Czy chodzi o wybawienie od natarczywych owadów, niedziałających komputerów, czy też niepokonanych stert prania, zawsze jesteś, kiedy Cię potrzebuję.

Dziękuję, Kochanie.

PROLOG



POTOK WOUNDED KNEE, REZERWAT INDIAŃSKI PINE RIDGE,
DAKOTA POŁUDNIOWA
29 GRUDNIA 1890

Zgodnie z tym, co mówi Pismo, jest czas wojny i czas pokoju. Kapitan Matthew Hanger z Siódmego Pułku Kawalerii miał nadzieję, że teraz był czas pokoju, mimo że układał właśnie palec na spuście swojego remingtona i mierzył do wojownika z plemienia Lakota Sioux stojącego po drugiej stronie wąwozu. Matt miał już dosyć wojny. Dosyć szkolenia ludzi tylko po to, żeby patrzeć, jak padają na polu bitwy. Dosyć polityków, obwieszczających swoje decyzje bez brania pod uwagę ludzi wysyłanych po to, by wprowadzać je w życie. Dosyć dobra i zła zlewającego się w jedną, mętną, nierozróżnialną mieszaninę, tak że nie wiedział już, po której stronie się opowiada.

Uważał, że powinien się cieszyć, że jeszcze nie zginął mimo trzynastu lat walk z Indianami, ale nie czuł, że naprawdę żyje, od czasu, gdy znalazł swoich rodziców i siostrzyczkę zamordowanych przez oddział Komanczów. Miał wówczas pięć lat i był zbyt mały, żeby walczyć, lecz na tyle duży, żeby w duszy doświadczyć pustki przypominającej doszczętnie spalony rodzinny dom.

– Myślisz, że złożą broń, kapitanie? – Przyciszony głos kaprała Luke'a Davenporta przebił się przez mroźne zimowe powietrze.

– Mam nadzieję. – Matt nawet na chwilę nie spuszczał wojownika z oczu.

Trzy oddziały żołnierzy, którzy zsiadli z koni, weszły teraz do obozowiska Lakotów i zaczęły otaczać wojowników wodza Wielkiej Stopy – kontyngent, który wydawał się liczyć około stu dwudziestu mężczyzn. Wielu spośród nich było owiniętych kocami z powodu pogody. Oddział Matta, nadal konno, został skierowany na wzniesienie na południe od obozowiska, aby zabezpieczać przed wszelkimi próbami ucieczki ze strony Lakotów.

– Te nowe rytuały Tańca Duchów trzymają ich jak na szpilkach.

Ledwie Matt wypowiedział te słowa, a szaman rozpoczął monotonny śpiew. Kiedy żołnierze przetrząsali obozowisko w poszukiwaniu broni, on lawirował pomiędzy młodszymi wojownikami. Śpiewał i tańczył. Początkowo poruszał się subtelnie, niemal niezauważalnie, jednak stopniowo się ośmielał, a jego ruchy stawały się coraz bardziej wyraziste.

Matt zacisnął zęby. Dokładnie to, czego teraz w ogóle nie potrzebowali. Lakotowie wczoraj byli już dość potulni, kiedy oddział Hangerera otoczył ich w pobliżu Porcupine Butte. Wielka Stopa zachowywał się ulegle. Ale ten szaman... wzbudzał nieposłuszeństwo. Matt wyczuwał to tak samo mocno jak powiew zimowego wiatru na karku.

– Spokojnie, panowie – szepnął do żołnierzy będących najbliżej, ufając, że przekażą te słowa dalej.

Miał o nich dobre zdanie, ale wielu było jeszcze młodych i niedoświadczonych. I podenerwowanych.

– Preach¹, masz dla mnie werset?

Kapral Luke Davenport służył z nim już prawie od dekady. Razem zdobywali kolejne stopnie. Stanowił śmiertelne niebezpieczeństwo w bezpośrednim starciu – był najlepszym fechtmistrem, jakiego Matt kiedykolwiek widział. Teraz jednak nie zwrócił się do niego, żeby kapral go osłaniał. Luke był chodzącą skarbnicą wiedzy biblijnej. Zawsze miał w pogotowiu jakiś werset, który dawał Mattowi oparcie. Jeśli kiedykolwiek było to potrzebne, to właśnie teraz.

– „Ty przepasałeś mnie mocą do walki, powaliłeś przede mną przeciwników”². Psalm osiemnasty.

Matt pozwolił, by te słowa dotarły do jego świadomości. Już kiedyś słyszał, jak Luke je przytaczał. Nadawały się, żeby dodać żołnierzom pewności siebie przed atakiem na wroga, ale były niezbyt pokrzepiające, kiedy ktoś liczył na pokojowe nastawienie i uległość. W złowieszczy sposób wzmogły skurcz, który kapitan już odczuwał w trzewiach.

Pułkownik Forsyth nakazał Lakotom, aby oddali strzelby. Jego ludzie poruszali się między wojownikami i skutecznie oddzielali ich od reszty obozowiska, gdzie pozostawały kobiety i dzieci. Starsi mężczyźni posłusznie wypełnili polecenie, ale młodzi mocno otulali się kocami, jakby nie mieli nic do przekazania. Ich twarze były jak kamienne maski. Mattowi zmroziło to krew w żyłach.

Szaman nadal monotonnie śpiewał. Snuł się między młodymi wojownikami. Był szydery i buntowniczy.

Matt poprawił się w siodle i zacisnął kolana. Phineas, jego gniady koń, zastrzygł uszami i spuścił głowę w gotowości.

¹ Przezwisko pochodzące od angielskiego czasownika *to preach* – głosić, prawić kazania (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

² Ps 18,40.

Matt przyjrzał się Lakotom. Nie było widać broni, a żołnierze przeszukujący obozowisko przynieśli jedynie kilka strzelb. Coś było nie tak.

Wtem uwagę Matta przyciągnęło jakieś poruszenie z tyłu. Jeden z Indian zrzucił koc, a w słońcu błysnął metal. Huknął strzał.

Rozpętało się piekło.

– Do ataku! – krzyknął Matt, po czym dał znać Markowi Wallace'owi, swojemu trębaczowi, żeby grał sygnał do natarcia.

Zabrzmiała trąbka, konie ruszyły, a z broni posypał się grad pocisków. Kilkunastu żołnierzy znajdujących się w obozowisku padło martwych, a obok nich na śniegu legło dwa razy więcej Lakotów.

Strażnicy i zwiadowcy kawaleryjscy rzucili się, żeby chronić żołnierzy na koniach. Matt popędził Phineasa, myśląc jedynie o tym, by ratować swoich ludzi. Strzelał, osłaniając ogniem i trafiając przy tym jakiegoś uzbrojonego śmiałka biegnącego w kierunku wąwozu, a zaraz potem jeszcze jednego, który zatrzymał się i mierzył do wycofującego się żołnierza.

Z tyłu rozbrzmiewały huki artylerii Hotchkissa. Siła wystrzałów z czterech armat górskich była tak mocna, że Matt czuł drgania na swoim torsie. Pochylił się w siodle i skurczył, żeby trudniej było w niego trafić.

Kątem oka dostrzegł znajomą twarz i skierował Phineasa, by przejąć wycofującego się kawalerzystę. To był Afroamerykanin³ Jonah Brooks, z Dziesiątego Regimentu Kawalerii. Służył pod dowództwem Hangera w wielu misjach zwiadowczych, gdy była potrzebna umiejętność skradania się. Miał talent do stawania się niezauważalnym i potrafił z odległości

³ Takich żołnierzy określano mianem *buffalo soldier* (z ang. bawoli żołnierz).

pięciuset metrów trafić dziesięciocentówkę w sam środek. Stanowił zbyt cenny zasób, żeby go stracić w tym zamieszaniu. A do tego był jego przyjacielem.

Matt włożył swojego remingtona do kabury i wyszarpnął lewy but ze strzemienia. Zwolnił Phineasa na tyle, żeby dało się chwycić mężczyznę, po czym nachylił się i wyciągnął rękę.

– Jonah! Złap się!

Mężczyzna zrobił to bez wahania. Chwycił Matta za nadgarstek i podciągnął się, a ten odchylił się dla równowagi. Jonah włożył czubek buta w strzemień i usadowił się z wysiłkiem za siodłem na grzbiecie gniadosza.

Stuknął Matta w ramię.

– Już, kapitanie!

Hanger zawrócił i skierował Phineasa w stronę krawędzi wąwozu.

Armaty Hotchkissa wywołały popłoch wśród Lakotów. Kobiety i dzieci wybiegły z obozowiska, próbując się schronić w wąwozie razem z mężczyznami. Jednak wmieszanie się między wojowników jedynie uczyniło z nich cele.

– Chronicie naszych! – wykrzyknął Matt do swoich żołnierzy. Na te słowa Preach odwrócił się w swoim siodle i spojrział mu w oczy. – Ale uważajcie, gdzie strzelacie! Na polu bitwy mamy niewinnych ludzi. – Matt wskazał palcem na kobietę z małym dzieckiem na ręku, biegnącą w kierunku wąwozu.

Preach skinął głową i zaczął wykrzykiwać do swoich podwładnych. Prowadzenie wojny z wyszkolonym przeciwnikiem to jedno, ale mierzenie do kobiet i dzieci... nikt z nich tego nie chciał.

– Preach! – zawołał Matt. – Kiedy nasi będą bezpieczni, zablokujcie drogę ucieczki Lakotom.

Kapral stuknął w krawędź kapelusza lufą swojego rewolwera, dając znać, że go słyszał. Matt ufał, że wypełni powierzone zadanie, a sam wziął się za dostarczenie Jonaha w bezpieczne miejsce. Phineas nie mógł zbyt długo dźwigać dwojga ludzi, więc kapitan skierował się ku wzniesieniu na zachód od wąwozu i krzyknął do innych żołnierzy, żeby zebrali się za wzgórzem. Armaty strzelały zbyt blisko. Ludzie byli zagrożeni nie tylko przez Lakotów, ale i własną artylerię. Prawdę mówiąc, większość Indian właśnie uciekała, więc nie byli aż tak niebezpieczni.

Tymczasem kule nadal śmigały, wybuchały pociski artyleryjskie, a Lakotowie ginęli.

Chroń swoich ludzi. Wypełnij swój cel. Nie zważaj na resztę. Matt zacisnął zęby i postanowił porzucić sentymenty. *Skup się na tym, na co masz wpływ.* Nie mógł kontrolować artylerii. Nie mógł powstrzymać chaotycznej ucieczki niewinnych ludzi w kierunku linii ognia. Mógł doprowadzić swoich żołnierzy na bezpieczną pozycję i przeorganizować oddział, żeby powstrzymać ucieczkę wroga.

Kiedy znalazł się na wzniesieniu, zatrzymał Phineasa, a Jonah zsunął się na ziemię.

– Weź mój karabin – rozkazał, wyciągając springfielda z kabury i zdecydowanym ruchem podając go Jonahowi, który miał już tylko broń boczną. – Będzie z ciebie większy pożytek, kiedy będziesz nas osłaniał z odległości niż gdybyś poszedł do wąwozu z rewolwerem.

Jonah nic nie powiedział, a jedynie skinął głową i wziął strzelbę.

Matt czuł się już spokojniejszy o swoich ludzi. Jonah ze springfieldem mógł zabić więcej wrogich wojowników niż połowa kawalerii. A jego kule zostaną posłane do właściwego

celu, a nie będą latać przypadkowo w kierunku czegokolwiek, co tylko się rusza.

Kapitan zauważył siwego konia Marka Wallace'a, przywołał więc trębacza i polecił mu zgrupować ludzi i wysłać ich, aby ochraniali wąwóz. Sam dołączył do Preacha na zachodnim końcu, żeby opanować tych, którzy próbowali uciekać.

– To totalny bałagan, kapitanie. – Preach podszedł do niego, żeby złożyć meldunek, a Matt ześlizgnął się z siodła. – Jakaś grupa zgromadziła się w zakolu, niedaleko stąd. Głównie kobiety i dzieci. Ale przy tej wymianie ognia dostać się do nich to jak samobójstwo.

Matt skinął głową, przyglądając się chaosowi w obozowisku Lakotów. Zawahał się na widok niebieskich mundurów zabitych żołnierzy. Wpatrywał się w ten obraz, poszukując w głowie planu, który umożliwiłby mu realizację celu, minimalizując przy tym liczbę ofiar.

Indianie napływali do wąwozu, próbując się chronić przed ogniem karabinów i artylerii. Niektórzy z nich dysponowali uzbrojeniem. Pozostali byli cywilami. Jednak w mieszaninie błota, krwi i stale przybywających osób nie dawało się ich rozróżnić.

Kilku wojowników zaczęło się wdrapywać po ścianach wąwozu.

– O właśnie! – Matt wskazał na mężczyzn, których teraz zauważył. – Skupcie się na opanowaniu tych ludzi. Jeśli wejdą na krawędź, będą mogli wygodnie celować w naszych chłopaków. Zobaczę, co dam radę zrobić z tamtą grupą w zakolu.

– Tak jest. – Luke wyraźnie skinął głową, a Matt odwrócił się, żeby wykonać zadanie, które sam sobie wyznaczył. – Hej, kapitanie?

Hanger zwrócił się do niego.

– Tak?

– Niektóre kobiety mają broń. Widziałem jedną, zakrwawioną, z kawaleryjskim rewolwerem w ręce. Widocznie zabrała go zabitemu żołnierzowi. Uważaj.

– Jak zawsze, kapralu.

Jeśli kobieta brała do ręki broń i stawiała do walki obok mężczyzn, musiała się liczyć z konsekwencjami. Ale człowiek honoru chronił płęć piękną najlepiej, jak potrafił, niezależnie od okoliczności. Nawet podczas wojny. Szczególnie podczas wojny.

Matt schylił się za Phineasem i naładował swojego remingtona, po czym skulony przebiegł wzdłuż krawędzi wąwozu, żeby znaleźć się jak najdalej od najsilniejszego ognia. Nie zamierzał pozwolić uciec kobietom i dzieciom, ale mógł je zaaresztować i zaprowadzić w bardziej ustronne miejsce.

Dał znać kilku swoim ludziom, żeby ruszyli za nim, a następnie udał się w kierunku płytszego końca wąwozu i zaczął schodzić w dół – jak do Hadesu. Ciągły ostrzał artyleryjski w kierunku wąwozu zmienił drogę ucieczki Lakotów w masowy grób. Kiedy był na górze, ściany wąwozu zasłaniały pełny obraz zniszczeń. Teraz już nic nie chroniło go przed przerażającym widokiem wszystkich zabitych i umierających na dnie.

Nozdrza kapitana wypełniła woń krwi i prochu, jednak szedł przed siebie. Tak właśnie powinien postępować dowódca. Nie pokazać strachu ani odrazy, a jedynie pewność siebie i siłę. Tak aby jego ludzie poszli za nim.

Zauważył zakole i skierował się w lewo. Poleciał podkomendnym, żeby pilnowali wejścia do wąwozu i strzelali jedynie wówczas, gdyby zostali zaatakowani. Następnie ruszył przed siebie z bronią w ręce.

Koło ucha zaświszczał mu pocisk. Przeleciał obok i wbił się w ziemię kilkadziesiąt centymetrów od niego. Kolejny odbił się od półki skalnej tuż przed nim.

Teraz ich widział. Pięcioro, głównie dzieci.

Starsza kobieta spojrzała mu w oczy i wyprostowała się. Nie z lęku, ale w geście rezygnacji. Dumnie opuściła ramiona i podniosła głowę, po czym stanęła tak, żeby osłonić dzieci. Matt skierował lufę remingtona w niebo, a lewą dłoń trzymał wnętrzem do góry, by zapewnić kobietę, iż nie chce im zrobić krzywdy. Następnie skinął, żeby podeszła.

Nawet nie drgnęła. Patrzyła tylko na niego wzrokiem oskarżającym jego i jemu podobnych.

Nagle poruszenie z tyłu za Indianką uruchomiło instynkt obronny Matta. Niewielki chłopiec wychylił się zza swojej opiekunki z rewolwerem w ręce.

Matt się nie zawahał. Opuścił lufę i wystrzelił. Dzieciak również, ale jego strzał poleciał szerokim łukiem, ponieważ kula kapitana trafiła go w ramię. Matt ruszył do przodu, chcąc zabezpieczyć broń. Drugie dziecko krzyknęło, kiedy chłopak upadł na ziemię. Matt rzucił się na niego i owinał palce wokół broni, którą ten nadal trzymał. Jeden szybki ruch, a pistolet wypadł mu z ręki. Matt włożył go sobie za pas, po czym szybko wyciągnął z kieszeni chustkę i docisnął ją do rany. Chłopiec potrzebował lekarza, żeby wydobyć kulę i zaszyć ranę, ale powinien przeżyć. Jeśli wydostaną się z tego wąwozu.

– Kapitanie! Artyleria naciera – zawołał jeden z jego ludzi.

– Musimy się wycofać.

Matt zerknął w kierunku ściany wąwozu znajdującej się za nim. Jedną z armat wytaczano w pobliże krawędzi. Nikt nie przeżyłby ataku z takiej odległości.

Ponownie zwrócił się do starszej kobiety.

– Chodź. – Skinął i wskazał na armatę. – Musimy iść. Natychmiast.

Zignorowała go. Może nie do końca. Zignorowała jego rozkaz, lecz nie jego. Przeszyła go nienawistnym spojrzeniem i skierowała pozostałe dzieci ku obozowisku. Na linię ognia. Tak jakby wolała umrzeć ze swoimi ludźmi niż pójść za białym w bezpieczne miejsce.

Chłopiec, któremu Matt próbował pomóc, zaczął się rzucać. Wierzgnął i przetoczył się, zostawiając zakrwawioną chustkę Matta na śniegu.

– Zaczekaj! – Matt sięgnął w jego stronę, próbując uratować chociaż jego, ale ten ruszył za swoimi, a kula trafiła go prosto w pierś. Poleciał do tyłu pod wpływem siły uderzenia. – Nie! – Rzucił się za nim, ale poczuł na ramieniu czyjąś dłoń.

– Nie możesz go uratować, Matt.

Głos Preacha. Kiedy kapral pojawił się w wąwozie? Czy nie powinien pilnować linii? Nie, ten odcinek był już pod osłoną działa Hotchkissa.

Matt się zawahał. Musiał wydostać stąd te dzieci, zanim będzie za późno. Luke jedynie zacisnął mocniej dłoń. Pociągnął go do tyłu.

Chłopak się nie ruszał. Krew przesączała się przez jego okrycie, podobnie jak do głowy Matta przesączała się prawda. Dzieciak był martwy. Nie dało się go już uratować. A co z innymi?

Matt rozejrzał się po wąwozie w poszukiwaniu tamtej kobiety, ale Luke go odciągał. Zauważył ją w chwili, gdy wystrzeliło działo.



– Kapitanie! Słyszysz mnie?

Matt powoli się podniósł. Przerażliwie bolała go głowa. Dzwoniło mu w uszach i piekł go policzek. Dlaczego akurat policzek?

Otworzył oczy w samą porę, żeby zobaczyć, jak Wallace zamachuje się otwartą dłonią. Uderzenie trębacza wylądowało gwałtownie na twarzy Matta. Jego głowa odchyliła się w bok. Tajemnica piekącego policzka rozwiązana.

Kapitan jęknął.

– Jeśli można, wolałbym zachować wszystkie zęby.

– Dzięki Bogu. – Wallace wsunął rękę pod łopatkę Matta i pomógł mu usiąść. – Przepraszam, kapitanie Hanger. Był pan nieprzytomny przez dłuższą chwilę. Zaczynaliśmy się martwić.

Wówczas to do niego dotarło. Cisza. Żadnego ognia. Żadnych armat. Wyostrzył zmysły.

– Luke?

– Tu jestem, kapitanie. – Głowa Preacha pojawiła się w polu widzenia Matta, a tuż za nim pokazał się i Jonah. – Już po wszystkim.

Po wszystkim? Żołnierze, jakby czytając mu w myślach, chwycili go za ręce i pomogli mu wstać. Gwałtowny ruch wywołał u niego zawroty głowy, jednak dopiero widok, który ujrzał, sprawił, że ugięły się pod nim kolana. Widział już śmierć, ale nigdy na taką skalę. Nigdy w tak nierównych proporcjach.

W wąwozie leżeli martwi Lakotowie, były ich setki. Matt z trudem przełknął ślinę, kiedy jego wzrok zatrzymał się na twarzy, podobnie spokojnej, jak była za życia. Tamta starsza kobieta. Obok niej leżały dzieci – martwe wyrzuszenia na śniegu.

Dlaczego? To miała być zwykła konfiskata broni. Doprowadzenie do rezerwatu. W jaki sposób zmieniło się to w rzeź? Matt poczuł gorycz w gardle. Wstąpił do kawalerii, żeby chronić osadników, ludzi takich jak jego rodzina. Miał za zadanie dbać o sprawiedliwość i porządek na granicy. A to nie była sprawiedliwość.

– Boże, przebacz nam – wyszeptał.
Właśnie dokonali masakry.

1



PURGATORY SPRINGS, TEKSAS

MAJ 1893

Kapitanie, zapędzili nas w kozi róg. Matt Hanger oparł się o ścianę chatki, za którą schronił się razem z Wallace'em, po czym naładował ponownie swojego remingtona. Posypały się pociski, a banda koniokradów, do której zwalczania zostali wynajęci, zaczęła się zbliżać. Dawny trębacz z oddziału Matta odpowiedział ogniem z drugiej strony, a kapitan odrzucił łuski i wyciągnął z pasa świeże naboje.

– Utrzymaj linię jeszcze przez chwilę, Wallace – polecił stanowczo.

Mark był dobrym żołnierzem. Od czasu do czasu zachowywał się nieco brawurowo, ale można było na niego liczyć, kiedy sytuacja się pogarszała. Tak jak teraz.

Preach i farmerzy, którzy ich wynajęli, potrzebowali więcej czasu, jeśli mieli zapędzić skradzione zwierzęta z powrotem na rancho, zanim złodzieje się zorientują, że zostali wykiwani. Matt i Wallace mieli odwracać ich uwagę.

Hanger wsunął szósty pocisk do bębena, po czym wrócił do walki. Wycelował i zestrzelił kapelusza z głowy jednego